

# Nowa wieża Babel

Bronisław Świdorski

Dla mojego wnuka Mikkela,  
który mówi tylko po duńsku

Od chwili przybycia do Kopenhagi B. skarżył się na żydowskiego Boga swojej matki. Ów Bóg nie chciał zgody między ludźmi. Jedyne na samym początku było dobrze. Potomkowie ocalałych z Potopu poczęli zaludniać ziemię i część z nich udała się do kraju Synear pod wodzą Nimroda, który, jak powiada Biblia, „był dzielnym myśliwym przed Panem”. Ludzie rozumieli się wówczas doskonale, bowiem „mieli jeden język i jednakowe słowa”. A to oznaczało więcej niż porozumienie. Wszystko czynili zgodnie, a gdy ktoś rzucił hasło współpracy, na przykład przy budowie wieży, wcale nie wywołał waśni, jak to się dzisiaj dzieje przy wielkich budowach, gdzie od razu powstaje problem planu, kosztorysu i zaopatrzenia materiałowego. Przeciwnie – u pierwszych ludzi ujawniła się chęć pomocy, co tak zaświadcza Biblia: „I mówili jeden do drugiego: Nuż, wyrabiamy cegłę i wypalmy ją w ogniu. I używali cegły zamiast kamienia, a smoły zamiast zaprawy”.

Może to zdenerwowało Boga tradycjonalistę?, pomyślał B. To, że zdecydowali się na innowacyjność, miast zadowolić się tradycyjnym materiałem dawno przez Niego stworzonym? Ale przecież po to są ludzie na Ziemi, aby wymyślać nowe rzeczy, aby przepędzać nudę czynienia tego samego. A architekci są po to, by stawiać coraz wyższe domy. Nic zatem dziwnego, że wspomniani potomkowie Noego rzekli: „zbudujmy sobie miasto i wieżę, której

szczyt sięgałby aż do nieba, i uczynimy sobie imię, abyśmy nie rozproszyli się po całej ziemi!”.

Wysokie ambicje ludzi stworzonych przez Boga wywołały dziwną reakcję Stwórcy. Rzekł: „oto jeden lud i wszyscy mają jeden język, a to dopiero początek ich dzieła... przeto zstąpmy tam i pomieszajmy ich język, aby nikt nie rozumiał języka drugiego! I rozproszył ich Pan stamtąd, i przestali budować miasto. Dlatego nazwano je Babel, bo tam pomieszzał Pan język całej ziemi i rozproszył ich stamtąd po całej powierzchni...”.

Czy Pan uczynił tak, bo nazwisko Nimroda, jak mówią uczeni, oznaczało chuligana, który nie bał się Boga? Więc ukarał wszystkich, aby zemścić się na jednym człowieku? W ten sposób Najwyższy sprzeciwił się zarówno urbanizacji (bo od dawna wiedział, że miasto rodzi ateistów), socjalizacji (bo gdzie wielu żyje w zgodzie, tam nie potrzeba Boga) i ludzkiemu dobru. Ale dlaczego dobrze rozumiejący się ludzie nie mogli być razem? Czemu należało rozłączyć zgodnie pracujących przyjaciół? Jeszcze trudniejsza była sprawa pomieszania języków. Zatarcia pamięci. Odtąd ludzie nie wiedzieli, kim są. Dlaczego Bóg to zrobił? Może był wrogiem nauk ścisłych? Gdy tylko zobaczył, że budowa wieży wymaga mierzenia, ważenia, obliczania kątów, ustalania proporcji między smołą a cegłą, przeczuł, w jaką stronę to prowadzi. Chyba nawet szepnął do siebie: już niedługo, najpóźniej w XXI wieku europejscy neurobiolodzy ogłoszą, że przebadali całe ciało człowieka i znaleźli tam jedynie struktury komórek, impulsy elektryczne i związki chemiczne... ale żadnej duszy. Czy Bóg mógł na to pozwolić?

Dlatego pomieszzał języki, co spowodowało, że od pierwszego dnia emigracji B. zupełnie nie rozumiał Duńczyków. Nie pomogło nawet, gdy dla przyspieszenia procesu asymilacji zaczął czytać luterską Biblię, w której znalazł przytoczone cytaty. Księgę odkrył w szufladzie małego biurka z Ikei, które stało tuż pod regałem, obok materaca umieszczonego na skrzynkach po piwie Tuborg. B. mieszkał od kilku tygodni w przypominającym hotel protestanckim akademiku w Kopenhadze, którego właściciel narzucał meble i lektury. Został właśnie przyjęty na kopenhaską socjologię i jako kierunek studiów wybrał *mellemmenneskelig kommunikation* – komunikację między ludźmi. Prawie natychmiast otrzymał miejsce w akademiku.

Pokoje, do których się wchodziło z ciemnego korytarza, były przeznaczone dla singli. Tylko na końcu metraż pęczniał i tworzył dwupokojowe mieszkania dla rodzin studenckich, nierzadko z małymi dziećmi, budowniczo wie wysokiego akademika bowiem dobrze wiedzieli, że studia w języku duńskim zabierają wiele czasu. Jego pokój sąsiadował z rodzinnym i wkrótce zrozumiał, dlaczego tak łatwo dostał miejsce w akademiku. Za ścianą mieszkała +

wysoka, zmęczona dziewczyna z często płaczącym, chyba rocznym, czekoladowym chłopcem. We wspólnej kuchni, gdzie duńscy studenci jedli słodkie kartofle, a B. jajecznicę z duńskich jajek robioną po polsku, wydawało mu się, że rozumie, co mówiono o dziewczynie. Miała na imię Kristin i była zakochana w wysokim Somalijczyku, który mieszkał z nią ponad rok i ją opuścił, gdy tylko otrzymał azyl. Z sąsiadami rozmawiał po angielsku, niekiedy wtrącał francuskie słowa. Nikt w kuchni nie pamiętał ani imienia, ani nazwiska Somalijczyka, po prostu nazywano go tak, bo przyjechał z Somalii. Zresztą tyle energii wymagało zapamiętanie zwykłych duńskich imion! Także chłopczyk nie otrzymał jeszcze imienia, według pogłosek kuchennych o słodkim zapachu. Kristin wciąż czekała, aż ojciec powróci. Chciała razem z nim znaleźć imię, które będzie zarówno duńskie, jak i somalijskie, tak aby wszyscy byli zadowoleni. B. nie znał dziewczyny. Od czasu do czasu widywał ją, gdy przytrzymywała ciężkie drzwi windy, popychając wózek z dzieckiem. Pomógł jej kilka razy. Pewnego sobotniego wieczora usłyszał szybkie pukanie do drzwi. Na progu stała Kristin. Płacząc, spytała po angielsku i duńsku, czy mógłby przez chwilę zająć się dzieckiem, które spało.

– *Please* – powiedziała i chwyciła go za rękę – przed chwilą dzwonił mąż, chce porozmawiać, *now*, tak, natychmiast. *Please!*

B. niechętnie się zgodził. Inaczej ułożył sobie ten wieczór, ale jak miał jej o tym powiedzieć? W jakim języku powinien był zaprotestować? Kristin uznała jego wzburzone milczenie za zgodę. Zaprowadziła go do swojego mieszkania pełnego nieporządku i brudu. Pokazała dziecko w łóżeczku, butelkę napełnioną mlekiem i stos plastikowych pieluszek. Wybiegła, wołając, że to zajmie chwilę, *just a minute*, a może nawet tylko *et øjeblik*.

B. stał w cichym mieszkaniu. Chłopczyk zaczął płakać. B. przysunął do jego ust plastikową buteleczkę z mlekiem, ale mały odtrącił jego rękę. B. poczuł silny zapach, który nie budził wątpliwości. Ale być może uda się mu zagadać chłopca, odwrócić jego uwagę do chwili przyjścia matki? Podniósł małego z łóżeczka i posadził na podłodze. W plecionym koszyku przykrytym afrykańskim kilimem znalazł klocki Lego. Zaczął je łączyć ze sobą i po chwili obok chłopca wyrósł smukły dom. Jego fundamenty był żółte, pierwsze piętro czerwone, a kolejne świeciły czernią i zielenią, okna błyskały niebiesko, a obok stało drzewo. Chłopczyk wyciągnął dłoń i schwycił biały klocek.

– Dobrze – powiedział B. i umieścił go na kolejnym piętrze.

Pracowali tak zgodnie, jakby łączył ich wspólny język. Po chwili chłopczyk ponownie zapłakał. Nie chciał przestać i B., który już poznał prace o psychologii dzieci, zrozumiał, że nie uniknie przykrej pracy. Rozebrał malca i rozwiązał pieluszkę. Jak przeczuwał, kupa była twarda i czarna jak smolna zaprawa łącząca cegły biblijnej wieży. Wziął chłopca na ręce, przeszedł do

małej kuchni i położył w zlewie. Potem zmoczył czerwoną gąbkę leżącą przy kranie. Umył zabrudzoną skórę i wytarł ścierką do naczyń. Powrócił do pokoju, położył go na podłodze i założył plastikową pieluszkę.

– No, a teraz do pracy – rzekł po polsku do chłopca.

Znowu zaczęli układać wieżę z klocków. Kilka minut później mały rozciągnął się na podłodze i zasnął. B. przeniósł go do łóżka i przykrył kołderką. Chyba godzinę czekał na powrót matki. Gdy wreszcie cicho otworzyła drzwi, popatrzyła na B., jakby zapomniała, kim jest.

– Chciał się pożegnać. Wyjeżdża – powiedziała po duńsku. – Wraca do Afryki, gdzie nie będzie musiał mówić po duńsku. *He's crazy, crazy!*

Podeszła do śpiącego syna i szepnęła:

– *Tak* – co po duńsku oznacza podziękowanie.

Ten sam wyraz, nieco inaczej wymówiony, oznacza po polsku potwierdzenie.

B. powtórzył za Kristin:

– Tak.

Rozbawiła go myśl, że znalazł nowy, może nawet najkrótszy na świecie, dowód na istnienie ludzkiej komunikacji. Powoli wyszedł, uważając, by nie potrącić kolorowej wieży zbudowanej z klocków Lego. Bóg zrobi, co zechce.

•